

Zawsze zastanawiałam się, co ich pchnęło ku sobie. Zawzięci i uparci. Odkąd pamiętam, każdej nocy zasypiałam przy dźwiękach dobiegających zza ściany wrzasków i pełnego furii brzęku tłuczonej zastawy. Miłość? To jest właśnie miłość?! Zapadając w sen przy tej wątpliwej muzyce, nie mogłam się nadziwić, jakim cudem oni mogą jeszcze ze sobą wytrzymać.

Moi rodzice byli zupełnie inni. Nigdy z ich ust nie usłyszałam zdania wypowiedzianego podniesionym głosem. Ślubna zastawa mojej matki nie zaznała najmniejszego uszczerbku. Spokój. Lubiłam panującą tu ciszę. Byłam pewna, że tak właśnie powinno być. Czułam się bezpiecznie, otulała mnie zewsząd spokojna atmosfera naszego M-4. Na rozlegający się po drugiej stronie ściany hałas ani od ojca, ani od matki nie usłyszałam słowa skargi. Sąsiedzi rozpoczynali swoje harce zwykle wieczorem, kiedy każdy normalny człowiek o tej porze odpoczywa. Wtedy to ojciec siadał w swoim fotelu – rozpinając uprzednio koszulę – włączał telewizor i oglądał jakiś mecz. Nie odrywał oczu od ekranu, cały jego świat mieścił się w tym pudle. Matka w tym czasie krzątała się po kuchni, zajęta swoim światem. Podejrzewam, że chyba by umarła, gdyby przed pójściem spać nie posprzątała porządnie kuchni. Tak powinno być, myślałam, porządek musi być. A tamci za ścianą? Życzyłam sobie w myślach, żeby w końcu się zamknęli.

Przejęłam ciszę domu. Było zupełnie dla mnie zrozumiałe, jak powinnam się zachowywać. Cicho. Moi rodzice, a zwłaszcza ojciec, wyraźnie życzyli sobie tego, a życzenie to raz tylko zostało wypowiedziane. Raz jeden zbyt głośno bawiłam się klockami. Usłyszałam i zapamiętałam: mam być cicho. „Dzieci można widzieć, ale nie powinno się ich słyszeć”. Pozbierałam klocki do skrzynki, którą postawiłam w kącie, starając się nie czynić hałasu. Po kilku minutach sąsiedzi rozpoczęli swój stały repertuar epitetów. Ojciec nie dał po sobie poznać, że słyszy cokolwiek. Wtedy zrozumiałam. Dzieci można widzieć, ale nie powinno się ich słyszeć, natomiast dorosłych niekoniecznie trzeba widzieć, a można ich słyszeć. Dorosłym wolno robić hałas, dzieciom – nie. Zdziwiło mnie wtedy tylko, że ojciec i matka nie korzystali z tego prawa. Może nie wszystkim wolno, pomyślałam, może prawo do hałasu kupuje się sklepie, jak jabłka albo cukier? Mama nieraz mówiła „nie mam pieniędzy”, „jakie to wszystko drogie”, kiedy byłyśmy na zakupach. Na pewno nie stać nas na taki luksus. Obywałam się jednak bez niego doskonale.

Rzadko ze sobą rozmawiali. Najczęściej przy śniadaniu. „Podaj cukier” albo „gdzie masło?” i jeszcze: „Chcę mielone na obiad” – to były słowa ojca rzucane w powietrze, bez jednego spojrzenia na matkę. Ona odpowiadała: „Proszę”, „Tutaj”, „Dobrze”. Zawsze do talerza. Życzenia czasem się zmieniały: podać sól, ugotować ogórkową. Wszystko to wypowiedziane bez emocji, bez jednego nawet grymasu, beznamietnie, jakby z pamięci. Po raz pierwszy, drugi, po raz enty. Wtedy jednak tak o tym nie myślałam. Dla mnie to był jeden wielki obraz harmonii. Coś magicznego. Wzajemne zrozumienie pomiędzy ojcem a matką było dla mnie godne podziwu. Wszystkiego, czego wtedy chciałam, to stać się kiedyś taką jak oni. Niemal gardziłam tymi zza ściany.

Nie mieli dzieci. Nieraz leżąc już w łóżku i słuchając krzyków, wyobrażałam sobie, że jestem ich córką. Musiałabym żyć w tym domu – niespokojnym, niebezpiecznym. Była to myśl tak dla mnie straszna, że przez długi czas nie mogłam zasnąć, choć odgłosy za ścianą dawno już ustały.

Jedyną rzeczą, której czasem im zazdrościłam, był śmiech. Jego – niski, gardłowy. Niepowstrzymany, piskliwy chichot należał do niej. Nuty wymykały się z ich ust jakby niepostrzeżenie. Przeplatały się, nie pasując do siebie zupełnie, istny dysonans, a jednak współgrały ze sobą. Nie istniały bez siebie. Śmiech rano, jako akompaniament do naszego cichego śniadania. Śmiech popołudniu, do obiadu. Wieczorem sitcom zmieniał się w dramat, który nagle milkł, jak nożem uciął. Nastawał śmiech nocą. Kiedy nie mogłam zasnąć, przejęta swoimi lękami, słyszałam go. Przyciszony, intymny, nieprzeznaczony dla moich uszu. Zastawa stołowa odpoczywała. Był tylko ten śmiech, który potem przechodził w jego chrapanie.

Wszystko ustało, tak jak sobie tego życzyłam. Długo potem, kiedy przestałam bawić się klockami. Długo potem, kiedy pustki fotela nie wypełniała już cicha acz stanowcza obecność ojca. Długo potem, gdy przymus ciszy stał się wyborem. Tam również zrobiło się cicho. Obco.

Widziałam go nieraz, gdy szedł chodnikiem, tuż pod moim oknem. Ono zastępowało mi teraz klocki. Patrzyłam na niego, postarzałego przedwcześnie. Zgarbionego, nieskorego już ni do gniewu, ni do śmiechu. Po niesionym przez niego zniczu wiedziałam, gdzie idzie. W tej samej sekundzie każdego dnia szedł tam, gdzie mógł znów się śmiać i wpadać w złość. Tam, gdzie ja mogłam znów tylko milczeć, tak samo jak milczał stary fotel ojca.

Za każdym razem, gdy obserwowałam tego człowieka, zadziwiało mnie, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Oboje umarliśmy w sobie. Wiedziałam, czułam poprzez połyskliwy chłód szyby, że czeka dnia, kiedy będzie mógł śmiać się naprawdę, a znicz nie będzie mu już potrzebny.

Czekałam na to samo.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kaero, dodano 26.08.2011 07:37

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.